

Sylwia
Trojanowska
KRÓL
TANGA

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Sylwia Trojanowska

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2026

Pamięci Luny i Tadeusza Millerów.
Oraz dla mojego męża Tomasza i syna Alana

„Ze wszystkiego najbardziej lubił śpiewać” –
Luna Miller o mężu Tadeuszu

SŁOWEM WSTĘPU

Kiedy pierwszy raz usłyszałam o Tadeuszu Millerze, zadałam sobie pytanie: Jak to możliwe, że dotąd nie znałam historii człowieka, który tuż po wojnie zdobył ogromną popularność, w ciągu niespełna roku nagrał sześćdziesiąt trzy piosenki, występował na antenach radiowych i mieszkał w moim Szczecinie? Później to samo pytanie zadawali mi inni. Do dziś je słyszę. Bo to naprawdę zaskakujące, że o kimś takim jak Tadeusz Miller słuch zaginał na ponad osiemdziesiąt lat.

Od czasu do czasu pojawiały się artykuły i organizowano wydarzenia upamiętniające piosenkarza, ale nie były one na tyle głośne, by jego postać trwale zapisała się w świadomości Polaków. A zatem – dlaczego zapomnieliśmy o Tadeuszu Millerze? Według mnie przede wszystkim dlatego, że ten niezwykle utalentowany człowiek nie otrzymał przywileju długiego życia, a tym samym długiej kariery. Jego głos, wizerunek, osobowość nie miały szansy utrwalić się w pamięci kolejnych pokoleń.

Drugim powodem jest to, że media w odbudowującej się po wojnie Polsce – radio i prasa – nie poświęcały piosenkarzom szczególnej uwagi. Owszem, piosenka radiowa była ważna, nawet bardzo ważna. Pozwalała słuchaczom oderwać się od codziennych problemów, niosła nadzieję. Nie skupiano się jednak na samych wykonawcach.

Trzecią przyczyną był sam głos Tadeusza Millera – brzmiał on bowiem nad wyraz podobnie do głosu Mieczysława Fogga, wielkiej gwiazdy polskiej sceny. Z tego powodu obu artystów po prostu...

myłono. Oczywiście na niekorzyść Tadeusza Millera. Co więcej, nie były to pomyłki popełniane wyłącznie przez słuchaczy. Nawet w rozgłośniach radiowych zdarzały się błędne zapowiedzi. Wydano także płytę z tworem Millera, sygnowaną nazwiskiem Fogga.

Historia Tadeusza Millera to wyjątkowa podróż w czasie do wczesnego powojnia, do Szczecina nazywanego Dzikim Zachodem. Jednocześnie mam głębokie przekonanie, że jest to opowieść, która pod względem ludzkich wyborów i emocji mogła wydarzyć się dekadę temu, dzieć się dziś lub przytrafić za kilka lat. Niesie w sobie znamiona elektryzującego uniwersalizmu. Zawiera również bardzo ważne motto, aktualne do dziś – a może właśnie dziś szczególnie: warto otaczać się ludźmi, którzy dmuchają w żagle i wspierają mimo wszystko. Wówczas szansa na osiągnięcie najwyższych celów i spełnienie największych marzeń staje się realna.

Historię Tadeusza Millera starałam się opowiedzieć możliwie najbliżej prawdy. Ze względu jednak na niewielką liczbę materiałów badawczych uzupełniłam ją uprawdopodobnionymi wydarzeniami, opierając się na wiedzy zdobytej podczas studiowania wspomnień pionierów Szczecina, dokumentów oraz ówczesnej prasy. Po przeczytaniu powieści zachęcam do sięgnięcia po moje adnotacje zamieszczone na końcu książki – tam opisuję to w szczegółach.

Zapraszam do lektury poruszającej opowieści o Tadeuszu Millerze i jego żonie Lunie, o Szczecinie rodzącym się z gruzów, o ludziach tamtych czasów. To historia o spełnianiu marzeń, zdobywaniu szczytów, wielkiej samotności i miłości silniejszej niż śmierć.

I

NA NOWE

Idziemy znów Nowym Światem, kochanie
Neony lśnią, dźwięczą, dzwonią tramwaje
Krakowskie i Marszałkowska znów żyją
A koło dworca szumi beztroski tłum

W Alejach bzy rozkwitają, jak dawniej
Łazienek czar i Chopina w nich łązy
Przez trzeci most, wprost do ciebie, o, miasto snów
Wrócić chcę, Warszawo, znów

Idziemy znów Nowym Światem

Słowa i muzyka: Waław Dunin-Brzeziński

1946

POCIĄG NADZIEI

Był luty. Oszronione drzewa skrzyły się w zimowym słońcu. Na polach zalegała śniegowa pierzyna. Sarny kopały racicami w zmarzniętej glebie.

Jechali już wiele godzin, ponad sześć. Podróż z Koszalina nie miała tyle trwać, ale liczne postoje wydłużały czas i sprawiały, że ludzie zaczęli wątpić, czy dotrą na miejsce przed nocą.

W przeciwieństwie do aury na zewnątrz w pociągu panowała duchota. Pasażerów było znacznie więcej, niż powinno. Ale czy ludzie w ogóle powinni podróżować wagonami towarowymi, na siedziiskach wykonanych naprędce z tego, co akurat znalazło się pod ręką? Nikt o to nie pytał i nikt też nie narzekał; każdy cieszył się, że jedzie w kierunku, który dawał nadzieję. Oni chcieli na zachód, na ten najdalszy zachód. Celem był Szczecin, miasto cieszące się i dobrą, i złą sławą. W tę złą nie chcieli wierzyć. Wzruszali ramionami, machali rękoma, słysząc o szabrownikach, niemieckich dywersantach, nocnych strzałach i trupach na ulicach. Wszyscy liczyli na mieszkanie, najlepiej umeblowane, płatną pracę, no i miasto: z szerokimi alejami i parkami, ze sklepami, restauracjami i szkołami, w których ich dzieci miały być uczone przez wybitną kadrę.

Na nowe życie liczyli.

Liczył na nie również Tadeusz. Chciał w końcu gdzieś osiąść, znaleźć dobre miejsce dla siebie i Luni, swojej żony, która spała teraz u jego boku. Przytulał ją i patrzył na współtowarzyszy, na budzące się w nich niepewność i nerwowość. Znał Szczecin tylko

z opowieści, nie wiedział, na co się piszą i co tym razem ich czeka. Wielokrotnie zmieniali już miejsce zamieszkania, wielokrotnie próbowali życia od nowa.

Koszalin opuszczali bez żalu. Jakoś nie potrafili zapaść w nim korzeni, chociaż nie było im źle. On miał pracę fotografa, którą lubił. Mógłby tam zostać, ale Lunę Koszalin uwierał i kiedy przyszła wiadomość od siostrzenicy, że w Szczecinie jest lepiej niż dobrze, długo się nie zastanawiała. Tadeusz zgodził się z miejsca, spakowali więc cały dobytek do dwóch tobołków i najbliższym pociągiem udali się do Szczecina.

Jak się później okazało, Tadeusz siedział w wagonie w najlepszym możliwym miejscu, tuż przy szerokiej szparze, a raczej wyrwie w ścianie z desek. Na początku nikt nie chciał go zająć – była wszak zima, mróz wciskał się we wszystkie nieszczelności. Teraz każdy by się zamienił, żeby złapać choć kilka haustów świeżego powietrza i zerknąć na horyzont.

Tadeusz zapatrzył się w dal. Mijali samotne domy, w których tu i ówdzie migało światło. Niekiedy całe puste wsie, do szczętu zrujnowane. Bo kto by chciał na niemieckich gruzach budować nowe życie, kiedy gdzie indziej znalazłyby się całkiem porządne zabudowania? Od czasu do czasu mijali również takie – domy z zatkniętymi w okna polskimi flagami, których właściciele krzatali się w zagrodach. Niektórzy z rzadka machali do podróżnych.

Na każdym postoju ludzie ożywiali się na widok tej nowej polskiej ziemi. Zdarzali się tacy, co na widok zabudowań rozważali zakończenie podróży.

– Solidna konstrukcja, mocny płot – szeptali.

Potem zadawali sobie pytania.

– Może tu lepiej? Może teraz? Może to okazja?

Patrzyli sobie w oczy, jakby szukali w nich odpowiedzi albo znaku, drogowskazu, co powinni zrobić. Najwięcej pytań padało, kiedy na przystankach widzieli transparenty: *Witamy na polskiej ziemi* albo *Tu była, jest i będzie Polska*. Wówczas wiwatowali, klaskali, wy-

chylali się lub nawet na chwilę wyskakiwali z pociągu i sprawdzali głębę, a jak była możliwość, rozmawiali z osiedleńcami. Transparenty dodawały otuchy, utwierdzały w przekonaniu, że znaleźli się w dobrym miejscu, że nikt ich nie zwodzi.

Pociąg, choć nie jechał szybko, jeszcze zwolnił i zdawało się, że pcha go naprzód wyłącznie siła rozpędu. Pod kołami coś niepokojąco trzeszczało, nie słychać było zwyczajowego turkotania. Tubalny męski głos polecił, by się nie ruszać, bo pewnie jadą przez most.

– Jak będziemy siedzieć bez ruchu, to może przejedziemy.

– Jak to „może”...? – poniosło się po ciemnym wagonie.

Głos już nie odpowiedział, tylko syknął długie „ciiii”. Trzask, łup, trzask! Wagon zachybotał się, a pasażerowie powpadali jeden na drugiego. Rozległ się gremialny pisk przerażenia, na skraju paniki; jakaś kobieta zaczęła głośno się modlić, jakieś dziecko się rozpłakało. Nastąpił chaos. Ktoś rzucił, że trzeba otwierać wrota. Wówczas ponownie odezwał się ów niski głos:

– Zamknąć się, nie ruszać! Jak będziecie się tak wiercić, na pewno wpięprzymy się do wody! A potem to już koniec, nic z nas nie zostanie.

Powtórzył komunikat łamanym rosyjskim, a potem znowu po polsku:

– Zamknąć się, nie ruszać! Zamknąć się, nie ruszać!

Wszyscy jak na komendę umilkli, nie będąc w stanie zaprotestować. Nagle stali się posłuszni i bezwolni – nawet ci, którzy optowali za otwarciem wrót.

Luna uniosła głowę.

– Co... Co się dzieje? – zapytała cicho.

– Nic, Lu. Cii...

Ciszę w wagonie przerywał jedynie płacz dziecka; dorośli milczeli, kompletnie struchlali, nasłuchując dźwięków dobiegających spod podłogi. Luna spojrzała przez wyrwę i od razu wszystko pojęła – znajdowali się nad rzeką. Zerknęła na męża, a on mrugnął uspokajająco.

Luna dostrzegła kropelki potu na jego skroniach i spierzchnięte usta. Wiedziała, że się denerwuje. W milczeniu wzięła męża za rękę i mocno ścisnęła jego dłoń.

Przeprawa przez most trwała długo i w pewnym momencie Tadeusz pomyślał nawet, że nigdy nie dotrą na drugi brzeg. Że kolejarze każą im wysiąść i resztę drogi przebyć piechotą. Słyszał o mostach, które przy przeładowanych składach okazywały się trudne do pokonania, nawet nieprzejezdne. Słyszał o ludziach podążających wzdłuż torów, dźwigających tobołki, walizki, klatki z kurami, dorobek życia. Nie tego chciał dla Luny. O sobie nie myślał; on dałby radę ze wszystkim, nie takie trudy pokonywał podczas wojennej tułaczki. Jego drobnitka Luna też by sobie poradziła. Była zawzięta i twarda, ale przysięgł sobie, że oszczędzi jej trosk i znoju.

Kobiety w ich przedziale bezgłośnie odmawiały różaniec, przesuwając w palcach paciorki i rytmicznie poruszając ustami. Kiedy wreszcie znaleźli się po drugiej stronie mostu, jedna z nich wstała i zawołała:

– Chwała Bogu!

Wielu jej zawtórowało.

Wybuchły rozmowy; wszyscy paplali o tym, co by było, gdyby konstrukcja nie wytrzymała, gdyby skład się przechylił, gdyby nie rozległ się ten uciszający głos.

– O właśnie, ten głos! – krzyknął ktoś z głębi. – Kto on, niech się przedstawi!

– Jakub Chomiuk – padła odpowiedź. – Jestem kolejarz!

– Oklaski się należą!

Prowodyr aplauzu zawiwatował na cześć kolejarzy, a ludzie ochoczo poszli w jego ślady. O nich, o kolejarzach, nikt nie miał złego zdania. Każdy wiedział, że wykonywali tytaniczną robotę; dzięki nim można było się przemieszczać, jeździć za domem, za robotą, szukać krewnych. Potrzebowano pociągów, bo mało kto miał automobil.

Tadeusz przypomniał sobie artykuł o kolejarzach ze Szczecina, z tego dworca o dziwnie brzmiącej nazwie Gumieńce. Pisali w nim,

że tam wyjątkowo ciężko; kolejarze pracują ponad siły, dyżurują nocami, bo bandy szukają na dworcu łatwych łupów, ograbiając podróżnych i budynki przy stacji. O strzałach pisali, o trupach nawet. Żał mu wtedy było tych kolejarzy i pomyślał, że cieszy się ze swojej jakże innej profesji.

Jechali jeszcze wiele godzin, zatrzymując się co jakiś czas. Ludzie wysiadali – na dobre albo tylko na chwilę, za potrzebą lub po wodę i prowiant, jeśli widzieli zorganizowaną pomoc. Zdarzało się, że na peronach stały kobiety, oferując cienko posmarowany chleb czy zupę. Wszystko to szybko znikало.

Przed samym Szczecinem nakazano im opuszczenie wagonów. Niektórzy protestowali – nie rozumieli sytuacji. Bali się, bo zaczynała się szarówka, a przebywanie na zewnątrz po ciemnicy, zimą, na nieznanym terenie, z dziećmi, starcami i chorymi, napawało strachem. Szybko poniosła się wieść, że to z powodu mostów. Ktoś nazwał je kruchymi jak zapałki, ktoś inny ruskim barachłem.

– Musimy iść za pociągiem – powiedział Tadek niby do Luny, ale na tyle głośno, że inni również go usłyszeli.

Widział, że ludzie zaczynają się niepokoić i potrzebują informacji. Człowiek pozbawiony wiedzy robi się nerwowy. Sam tak miał. I wiedział, że to może spowodować nieszczęście.

– A potem znowu wsiądziemy i pojedziemy dalej.

– Tak to tu działa? – zapytała kobiecina z wyraźnym wschodnim akcentem.

– Tak usłyszałem. Zresztą proszę spojrzeć tam, przed siebie. Wiadać, że przed nami most. Żołnierze stoją, kolejarze sprawdzają, pociąg powoli się przetacza.

Kobiecina nie mogła jednak niczego dostrzec; była niska i na dodatek przygarbiona, ale wykonała ruch, jakby zerkała we wskazanym kierunku, i pokiwała głową.

– No to idziem – rzuciła, jakby spokojniejszym tonem, i zagarnęła przed siebie chłopaczka uczeplonego jej spódnicy.

Skład przetaczał się przez prowizoryczny most z trzaskiem i zgrzytem. Ludzie raz po raz wstrzymywali oddechy, ktoś pisnął, gdy wagony zachybowały się, ale w końcu wszystkie zatrzymały się na drugim brzegu i wówczas nakazano przejść pasażerom. To okazało się nie takie łatwe. Podróżni co chwilę się potykali, przewracali; niesiony bagaż znacznie utrudniał przepawę, a większość pasażerów nie była ani zbyt sprawna, ani szczególnie sprytna, a tu jedno i drugie stanowiły wartość. Z pomocą kolejarzy i silniejszych osób udało się wszystkim szczęśliwie dotrzeć na drugą stronę, a potem z powrotem wsiąść do wagonów.

I ponownie jechali.

Cel był już na horyzoncie.

NAZWISKO

Późnym popołudniem dojechali do Szczecina. Za oknem zmierzchało, była wszak zima. Stanęli w wielkim holu dworca, w którym panował dojmujący smród. Wyczuwało się nie tylko zapach przepocowanych ubrań i fekaliiów, ale także niepokojącej spalenizny. Powietrze wibrowało od dźwięku rozmów, płaczu, nawoływań. Tadeusz i Luna objęli spojrzeniem tych, którzy znajdowali się najbliżej – rodzinę z dziećmi, które niemożliwie głośno kłóciły się ze sobą, i ani ojciec, ani matka nie potrafili ich uspokoić. Dopiero: „Zaraz was aresztuję za zakłócanie porządku publicznego” wypowiedziane przez milicjanta przyniosło efekt. Nieco dalej stało starsze małżeństwo; opowiadali każdemu, kto chciał słuchać, jak okrężną drogą jechali do córki, i pokazywali jej zdjęcie. Tuż obok przycupnęły wychudzone, ciche kobiety w podniszczonych ubraniach, a przy nich zgromadziło się kilku mężczyzn, robiących zamieszanie, hałaśliwych. Luna od razu oceniła ich w duchu, że złodzieje, że trzeba uważać na torebki.

Na podróżnych, którzy miasto nad Odrą wybrali na swój punkt docelowy, czekali urzędnicy z Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Każdy musiał przejść weryfikację, podpisać dokumenty, odebrać kwity. Niektórzy urzędnicy przeprowadzali ów proces całkiem sprawnie, nie zajmując zmęczonym ludziom czasu. Zdarzali się i szcegółarze, co to wypytywali tak drobiazgowo, jakby przesłuchiwali. Tadeusz z Luną trafili właśnie na jednego z nich.

– Nazwisko?

Tadeusz odpowiedział.

Mężczyzna poślinił rysik świeżo zatemperowanego ołówka.

– Jak pisać?

– Nie rozumiem. – To powiedziawszy, Tadeusz zmrużył oczy i podał urzędnikowi dokumenty.

Ten zaczął je przeglądać – nad wyraz dokładnie, jakby zwęszył fałszerstwo.

– Niemcy? – zapytał, choć wiedział, że ludzie innych narodowości niż polska stawali do innych kolejek.

Utkwił wzrok w Tadeuszu, szukając w jego twarzy jakiejś rysy, mikrogestu, który mógłby zakwalifikować do tych uznawanych za kłamliwe.

– Polacy – odparł z przekonaniem Tadeusz.

Zniecierpliwiona Luna zaczęła rozglądać się po holu; powiodła wzrokiem za ludźmi, którzy z kwitkami w dłoniach odchodzili z sąsiednich kolejek. W końcu zawiesiła spojrzenie na fiszce leżącej na blacie biurka, przy którym się znajdowali.

– Proszę pana, ja nie pytam, czy pan Rosjanin, skoro ma pan Czernousow na nazwisko – odezwała się.

Mężczyzna jakby czekał na taką zaczepkę.

– A to byłoby źle? – prychnął. – Rosja jest naszym sojusznikiem i wybawicielem. Z dumą noszę to nazwisko.

Tadeusz wziął żonę za rękę, dając jej znać, by poskromiła cięty język. Luna sama chyba przeraziła się tego, co powiedziała. Zdawała sobie sprawę, czym mogły grozić jej słowa, i natychmiast zmieniła ton na łagodniejszy.

– Przepraszam, ale proszę mnie... nas zrozumieć. Jesteśmy Polakami z dziada pradziada. Cóż możemy poradzić na nasze nazwisko? Wielu Polaków nosi niemiecko brzmiące. Braun, Keller, Mayer, Hoffmann... Co rusz jesteśmy pytani o narodowość, spotykamy się z niezrozumieniem. Czasami zdarza nam się tracić cierpliwość, bo wielkich krzywd zaznaliśmy od Niemców, wielu naszych bliskich zginęło w obozach, z rąk hitlerowców zmarniało i szczerze Niem-

ców za to nienawidzimy. Przyjechaliśmy tu na wezwanie władz, żeby zasiedlić miasto Polakami.

Mężczyzna zmierzył Lunę spojrzeniem.

- Wrywna z pani babka.
- Ale tylko w słusznej sprawie.
- W słusznej?
- W obronie własnej, rzekłabym.

Zerknął w formularz.

– Mamy tu jednego o waszym nazwisku, ale nie ze Lwowa, jak pan, a spod Krakowa – dodał jakby od niechcienia. Podniósł wzrok i wskazał na mężczyznę, który w drugim końcu holu przyjmował przyjezdnych. – O, tamten. Też Polak.

– Z dziada pradziada? – podchwyciła Luna, lecz urzędnik pokręcił głową z dezaprobatą.

– Ja tu jestem od zadawania pytań. Proszę się hamować.

Ponownie poślinił ołówek, naskrobał coś w formularzu, zadał jeszcze z tuzin pytań o zawód wyuczony i wykonywany, o ostatni adres oraz miejsce przebywania najbliższej rodziny. Na koniec przybił pieczęć obojgu i z kamienną miną przekazał dokumenty.

– Proszę udać się niezwłocznie do PUR-u. Adres jest na kwicie, dojazd też rozpisany. Tam przydzielą wam nocleg, skierują do pracy i dadzą, co trzeba, przede wszystkim szczegółowe wytyczne. – Odchrząknął, a potem zmusił się do uśmiechu. – Witamy w Szczecinie.